



Marian Kowalski

Niesamowita opowieść o miłości, przeznaczeniu i... czarownicach.

MR OCZNE DZIEDZICTWO

RW2010

MARIAN KOWALSKI
MROczne DZIEDZICTWO

Oficyna wydawnicza RW2010 Poznań 2012-2015

Redakcja: Joanna Śłużyńska

Korekta: Robert Wieczorek

Redakcja techniczna zespół RW2010

Copyright © Marian Kowalski 2012

Okładka Copyright © Mateusz Śłużyński 2015

Copyright © for the Polish edition by RW2010, 2012-2015

e-wydanie I

ISBN 978-83-63598-04-4

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie całości albo fragmentu – z wyjątkiem cytatów w artykułach i recenzjach – możliwe jest tylko za zgodą wydawcy.

Aby powstała ta książka, nie wycięto ani jednego drzewa.

Dział handlowy: marketing@rw2010.pl

Zapraszamy do naszego serwisu: www.rw2010.pl

[Kup książkę](#)

I

Nikogo nie dziwiłoby, gdyby w Stuttgarcie – wielkim niemieckim centrum akademickim – równocześnie odbywało się kilka konferencji naukowych, ściągających najtęższe umysły z różnych dziedzin. Natomiast zapraszanie gości co pięć lat do powiatu w Böblingen nad rzeką Würm – na artystyczny plener, w połączeniu z sympozjum na temat „Nadprzyrodzonych” – wywoływało liczne krytyczne komentarze, budziło powszechne zdumienie i... żywe zainteresowanie mediów. Przecież główny organizator, Weil der Stadt, nie mógł żadną miarą konkurować z ośrodkami posiadającymi rozbudowaną bazę instytucji naukowych i badawczych! A jednak. Rozgłos, jaki zyskało miasteczko, budził więc uczucie zazdrości u doświadczonych menedżerów, tym większe że organizowanych w nim imprez, poza zdawkową informacją o programie w internecie, nigdzie specjalnie nie reklamowano. Trudny też do wykrycia w lakonicznym zaproszeniu był sponsor.

W XXI wieku zjawiska nadprzyrodzone nadal fascynują ludzi. Na tej samej zasadzie skandale oraz uroczystości w rodzinach książęcych czy królewskich ekscytują społeczności demokratyczne, a laicyzujące się narody podniecają się informacjami o cudach upoważniających do wynoszenia na ołtarze błogosławionych i świętych pośredniczących między wiernymi a ich Wszechmocnym.

Miasteczko nie należało do atrakcyjnych turystycznie. Gospodarczo również pozostawało w tyle za innymi miejscowościami w Badenii-Wirtembergu. W jego starych kamieniczkach, na szerokich łóżach pamiętających czasy pradziadów można było przyjść na świat, lecz miejsca dla siebie należało szukać daleko poza nim. Tak jak Johannes Kepler. Urodził się tu, jako dziecko zdumiewał mieszkańców błyskotliwym umysłem, lecz gdzie indziej żył, zdobywał wiedzę i chętnie się nią dzielił. Pod jego skromnym pomnikiem obywatele miasteczka składają dziś kwiaty. Może nie tyle w hołdzie dla astronoma, który podważył system Arystotelesa twierdzącego, iż planety poruszają się ruchem jednostajnym po kole wokół Ziemi;

nie dla odkrywcy faktu, że promień wodzący, czyli odcinek prostej łączącej planetę ze Słońcem, zakreśla równe pola w równych odstępach czasu; również nie dla matematyka, który obliczył, iż okresy obiegu planet wokół Słońca są ich średnimi odległościami od niego; ani niekoniecznie dla twórcy powszechnego prawa ciężenia – bardziej z szacunku dla kogoś, kto przypominał im, że aby żyć odważniej, trzeba się z tego miasteczka wyrwać. Nie zrobiła tego w porę matka Keplera, Katarzyna, zielarka oskarżona o kontakty z diabłem, za co siedemdziesięcioletnią staruszkę przez czternaście miesięcy trzymano przykutą łańcuchami do ściany bramy miejskiej. Czterdziestoczteroletni syn nie znalazł żadnego argumentu ani prawa, by jednym swym wystąpieniem oraz naukowym autorytetem uwolnić ją od cierpień. Ten wstyd za ów występki wobec Katarzyny i wobec innych spalonych na stosie kobiet – za czasów Keplera w Weil der Stadt mieszkało zaledwie dwieście rodzin, spośród których aż trzydzieści osiem osób skazano za czary na stos – dźwigają pokornie następne pokolenia: spadkobiercy sędziów i katów, potomkowie gawiedzi znoszącej drewno na stos. Dziedzice ci krążą dziś po uliczkach z przygarbionymi pod ciężarem wyrzutów sumienia plecami, wznosząc w Kościele św. Piotra i Pawła błagalne: „odpuść nam nasze winy...”. Z podobnym poczuciem winy, pokornie, z zawstydzeniem i nieśmiałością, zapraszają co pięć lat do rozmów o „Nadprzyrodzonych”, do konwersacji o granicy między dozwolonym a niedopuszczalnym, o walce tajemnych sił; zachęcają do artystycznych zmagania z różnorodną materią malarzy, rzeźbiarzy, muzyków, poetów, pisarzy, którzy wyrażają gotowość do poszukiwania „Nadprzyrodzonego”.

Zachowanie organizatorów budziło moją nieufność. Oni nie tylko okazali się ludźmi skromnymi – oni w ogóle byli nieobecni, nieuchwytni dla uczestników zjazdu, dla dziennikarzy czekających na konferencje prasowe, na wywiady. Ni stąd, ni zowąd spływały informacje przypominające o porządku dnia, na stołach pojawiały się opasłe biuletyny z referatami, kosztowne teczki z wydawnictwami oficyn,

o których istnieniu mało kto wiedział. Ale nikt nie widział rąk rozdających owe materiały ani nie widział ust ogłaszających komunikaty. No i skąd to miasteczko wzięło fundusze na organizację imprezy, na drogie wydawnictwa, wystawne posiłki, na opłacenie materiałów dla malarzy, rzeźbiarzy? Nikt nie miał zielonego pojęcia.

Tylko złośliwi szeptali po kątach, że po zamęczonych czarownicach pozostał niemały majątek, może wielkością niedorównujący bogactwu odkrywcy dynamitu, Noblowi, ale wystarczający do urządzania co pięć lat kosztownych zjazdów.

Tych i wielu innych pytań nie miałem komu zadać, bo natrafiałem wokół siebie jedynie na podobnych do mnie dyletantów, na gości przybyłych z różnych stron świata, na artystów, naukowców, dziennikarzy, ciekawych, co można w XXI wieku powiedzieć o sprawach nadprzyrodzonych.

Stałem daleko od drogi pokonywanej przez podążających do sali konferencyjnej, przerzucając kartki pięknie wydanej książki o tajemnicach ludzkiej natury, o szóstym zmyśle, o percepcji pozazmysłowej, gdy... instynktownie wyczułem jej obecność. Wciąż nie odrywałem oczu od książki, przebiegałem wzrokiem po liniijkach czarnych liter, doskonale czytelnych na białym papierze, równocześnie zabawiając się odgadywaniem, kogo oczekuję, i czy w końcu moje przewidywanie się sprawdzi. Była coraz bliżej; ciemnoniebieskie oczy, płonące tycjanowskie włosy nad białą bluzką, w której dekolcie lśnił sznur kamyczków z krzemienia pasiastego, minerału wybieranego dla osób bujących w obłokach. Niestety, kiedy podniosłem oczy, zobaczyłem już tylko domykające się drzwi do sali obrad. Szybko dopadłem jednego ze skrzydeł, uchyliłem je i wsunąłem się do środka.

Uczestnicy konferencji zagłębiali się w wygodnych fotelach. Nigdzie nie widziałem ognistowłosej. Opadłem w siedzisko jak w gigantyczną muszlę wyścieloną puchem i z roztargnieniem przysłuchiwałem się pierwszym wystąpieniom. Najpierw przekazywano pozdrowienia i życzenia owocnych obrad,

między innymi z Instytutu Badań Zaawansowanych w Princeton, po nich wygłoszono komunikaty porządkowe i wreszcie przyszła pora na referaty.

Byłem nieco zaskoczony, że rozpoczął autor artykułu umieszczonego w brytyjskim czasopiśmie popularnonaukowym *New Scientist*, przedstawiając najnowsze rewelacji dotyczące czarnych dziur. Jego wystąpienie stanowiło zamierzone uderzenie w pozornie zdrowy ziemski rozsądek – nietolerancyjny, niedopuszczający do istnienia praw wciąż wymagających badań – i zapewne miało podnieść na duchu pasjonatów zjawisk nadprzyrodzonych ze skłonnościami do konfabulacji. Tak je przyjął Francuz, krypto agnostyk, odrzucający wyłączne świadectwo zmysłów, powtarzający za André Malraux, że „wszelka ludzka rzeczywistość jest pozornością”.

Niemiec epatował słuchaczy najnowszą statystyką ofiar nietolerancji wieków średniowiecza i renesansu, podając zatrważające przypadki fanatyzmu i ksenofobii. Choćby przykład francuskiego sędziego Nicholasa Remy, który w ciągu piętnastu lat wysłał na stos ponad dziewięćset „czarownic”; czy inkwizytorów hiszpańskich winnych śmierci według oficjalnych danych 34 644 ludzi posądzonych o czary i herezje; oraz niezwykły przypadek z Wuerzburgu, gdzie w ciągu jednego dnia zginęło 157 osób, albo podobny z Quedlinburgu – kiedy spalono 131 osób.

Amerykanin w nadprzyrodzonych zjawiskach widział niewyczerpane możliwości dla twórców horrorów, thrillerów i nic ponadto; chętnie porównywał je z sensacyjnymi doniesieniami FBI o rzekomym kosmicie, przedstawicielu obcej cywilizacji, który wylądował w Roswell w stanie Nowy Meksyk i o którym na pewno zostanie nakręcony kolejny film lub serial.

Swoim wystąpieniem zaskoczyła mnie dopiero ognistowłosa. Pochodziła z Polski, gdzie zawsze były, są i będą prowadzone zażarte kłótnie dzielące społeczeństwo. Ledwo ucichły polityczne spory na temat katastrofy polskiego samolotu wojskowego w Smoleńsku 10 kwietnia 2010 roku, w której zginęło 96 osób

– w tym prezydent RP Lech Kaczyński z małżonką – a rozpętała się dyskusja o przeszłości: czy Polska była krajem bez stosów, czy nie. Wielu historyków obalało ów mit, bo i w tym kraju zarzucono trzystu osobom kontakty z diabłem. To niewiele w porównaniu z innymi krajami, ale właśnie z ust przedstawicielki państwa, którego obywatele chlubili się wielką tolerancją, padła propozycja, by rehabilitować wszystkie ofiary dawnych polowań na czarownice i skłonić Watykan do przeproszenia potomków owych rzekomych czarownic za wyrządzoną ich rodzinom krzywdę. Ognistowłosa przyjechała z kraju, gdzie co jakiś czas stawiano pomniki beatyfikowanemu Janowi Pawłowi II, odsłaniano tablice ofiar Katynia, Smoleńska, nic więc dziwnego, że zaproponowała uczestnikom konferencji i pleneru uwiecznienie męczenników ciemnoty oraz nietolerancji pomnikami i tablicami; sama zobowiązała się, że podczas pleneru stworzy popiersie Sydonii von Borcke, uważanej za sprawczynię śmierci rodu Gryfitów i spalonej na stosie w 1620 roku, z którą czuje bliską więź.

Nim ucichły oklaski, zerwał się z miejsca potomek rodu Borcke. Zwrócił się wprost do swej przedmówczyni. Stanowczo domagał się, by nie nadużywać imienia Sydonii, nie przypominać obecnym, za co została skazana, bo to rani uczucia żyjących. A on, von Borcke, nigdzie nie znalazł najmniejszej wzmianki, by pani Irena Pląder miała jakikolwiek związek z jego rodem, więc jeżeli zamierza rzeźbić jakąś postać, to niech ją nazwie, jak chce, byle nie Sydonią. Jeżeli jego żądanie nie zostanie spełnione – wytoczy proces wszystkim, którzy szargają imię Sydonii von Borcke! Szczególnie pani Irenie Pląder!

Jego wypowiedź spotkała się z uznaniem, mówcę długo oklaskiwano i nim zdążył opuścić trybunę, z głośników padła rezolucja popierająca wniosek obrońcy Sydonii.

Złotoruda nie odpowiedziała spadkobiercy Sydonii. Nie wstała, nie polemizowała, odwróciła się tylko do siedzących za nią i dość głośno stwierdziła:

– Szkoda, Sydonia to znane imię, a jej historia mogłaby posłużyć dobrej sprawie.

Zaskoczyło mnie, że w postulacie budowy pomnika Katarzynie Kepler w uzasadnieniu znalazły się słowa: „dla męczennicy czasów nietolerancji wobec ludzi o zdolnościach percepcji pozazmysłowej, dla przekraczających ziemski rozsądek”. Aż na taką motywację pomnik Katarzyny Kepler nie zasłużył! Czyżby otwierano w ten sposób furtkę dla osób, które kiedyś po prostu nazywano czarownicami?

Moje wątpliwości rozwił publicysta z magazynu „Physics World” zonglujący przykładami zjawisk w przyrodzie wciąż niezrozumiałych dla większości ludzi, wydarzeniami, które mogły być nazwane albo cudami, albo czarami. Wystąpienie zakończył wnioskiem: „Skoro uznajemy tak zwane cuda powstałe w dobrej intencji, dla dobra człowieka, jak niekwestionowany cud siostry Marie Simon Pierre ze Zgromadzenia Małych Sióstr Macierzyństwa Katolickiego, cierpiącej na chorobę Parkinsona, uleczonej za wstawiennictwem Jana Pawła II, musimy też pogodzić się z czarami pochodzącymi ze świata zła, zmierzających do pogorszenia ludzkiego bytu; pierwszych dalej zaliczamy do świętych, a drudzy niech noszą nazwę czarownic i czarowników”. Ten logiczny tok myślenia, jeżeli nie do końca zyskał moje uznanie, to ognistowłosej na pewno się spodobał; z daleka widziałem jej uniesione nad głową klaszczące dłonie. A zatem jeżeli jeszcze nie wierzyła w istnienie świata nadprzyrodzonego, to teraz była gotowa go zaakceptować. Prawdopodobnie również z Sydonią von Borcke, czy jak by ją zwać. Przynajmniej tak się mi wydawało, co wcale nie znaczyło, że do końca rozumiałem reakcje miedzianowłosej.

W przerwie obrad postanowiono złożyć kwiaty przed popiersiem Johannesa Keplera, obok którego miał w przyszłości stanąć pomnik jego matki. Tkwiałem w niewielkim tłumie z aparatem fotograficznym gotowym do robienia zdjęć z uroczystości, gdy rudopomarańczowa pojawiła się w pełnym świetle dnia. Jej włosy

wydały mi się jeszcze bardziej czerwone, a oczy niemalże czarne. Z należą do sytuacji powagą niosła bukiet purpurowych róż. Zastanawiałem się, czy dla tej pięknej kobiety Johannes Kepler jest wielkim odkrywcą, bo poznała jego prace, czy po prostu zawierzyła opinii, że należy do zasługujących na uznanie. Jej twarz wyrażała ten rodzaj stałego zdumienia, jaki mają dziewczynki w wieku dojrzewania oraz artyści odkrywający kolejną tajemnicę istnienia. Odpowiadały mi oba uzasadnienia dla emocji malującej się na pięknej słowiańskiej twarzy o miękkich rysach. Po prostu byłem urzeczony.

Nim się zorientowałem, do którego autokaru złotoruda wsiądzie, i nim podążyłem za nią, wszystkie miejsca w jej sąsiedztwie zostały zajęte. Musiałem zadowolić się ostatnim wolnym siedzeniem w tyle. Nie miałem większych powodów do narzekania, bo i stamtąd doskonale widziałem jej głowę.

Kiedy pasażerowie autokaru zaczęli wysiadać przednimi drzwiami, dość szybko znalazłem się przy tylnych i wyskoczyłem na parking jako pierwszy. Zobaczyłem więc zstępującą po stopniach miedzianowłosą. Jej sukienka, kończąca się kilkanaście centymetrów przed kolanami, odsłaniała zgrabne łydki, podudzia, uda. Jej powabna sylwetka budziła pragnienie zbliżenia się do dziewczyny. Nie przypominam sobie, bym wcześniej, na którymś z obsługiwanych przeze mnie zjazdów lub na jakiejś konferencji, spotkał tak młodą i atrakcyjną kobietę. Zachodnia prasa nie okłamuje czytelników, pisząc, że najładniejsze kobiety wywodzą się obecnie z Litwy, Łotwy, Rosji, Ukrainy i Polski. Poza tym ognistowłosa nosiła w sobie tajemnicę częściowo ujawnioną – przekonanie o istnieniu sił nadprzyrodzonych. Sama sprawiała wrażenie, jakby pochodziła z innego świata, z innego wymiaru pozaziemskiego. Fascynowała mnie do tego stopnia, że byłem gotów poświęcić jej cykl artykułów!

Wąską uliczką, prowadzącą do centrum miasteczka, szedłem tuż za nią, oddychając wonią jej puszystych włosów, którymi igrał lekki powiew wiatru. Na drodze stanął nam autokar grupy biblijnej Project Caravan z napisami: „Czy słyszałeś te niesamowite wiadomości? Koniec świata już prawie tu jest. Biblia to gwarantuje”. Nie cierpiałem takiej hałaśliwej bezczelności, spojrzałem na propagandowy autokar krzywym okiem.

Ominęliśmy go.

– Jest pani wszędzie, gdzie coś się dzieje albo ma się dzieć – stwierdziłem za jej plecami, nieco niepewny siebie, nieufający swemu głosowi, trochę zaskoczony własnym tupetem. Zaczepiłem obcą kobietę na ulicy; przecież jazda tym samym autokarem do tego samego celu przeznaczenia nie upoważniała mnie do podobnego zachowania.

Odwróciła głowę. Spojrzenie jej ciemnoniebieskich oczu zdawało się przenikać mnie do głębi, odkrywać prawdziwy powód zaczepki. Naturalnie czerwone usta uniosły się w półuśmiechu, co nadało jej twarzy jeszcze pogodniejszy, pełen życzliwości wyraz. Popatrzyła na moją wizytówkę, przyczepioną na wysokości serca; w pewnym sensie usprawiedliwiała mój postępek, bo przecież dziennikarzom wszystko wolno, mogą być nawet aroganccy, byle zdobyli ciekawy materiał dla swych czytelników.

– Pan też, redaktorze, nie zaniedbuje swych obowiązków.

– Tak, dla mnie to tylko praca. A dla pani? – Zaśmiałem się dwuznacznie.

Zrównałem się z nią i szliśmy obok siebie.

– Na tyle pytań nie znalazłam jeszcze odpowiedzi. – W jej ustach zabrzmiało to jak cicha skarga dziecka pominiętego podczas rozdawania świątecznych upominków, a jednak wciąż wydawała się pełna optymizmu i nadziei, że jej obecność na zjeździe nie pójdzie na marne.

– Pomóc pani? – zaoferowałem się.

I znów przeniknęło mnie spojrzenie ciemnoniebieskich oczu, ich niesamowita głębia kusila, by się w niej zatopić.

– W tabloidach nie znajdę pomocy. – Popatrzyła raz jeszcze na moją wizytówkę. – *Bild* nie należy do czasopism traktujących poważnie takie konferencje – zauważyła. – Stanowi pan wyjątek? Czy będzie pan z nas kpił jak z przepowiedni zawartych w centuriach Nostradamusa, jak z ostrzeżeń jasnowidzącej Wang czy jak ze słów proroka z Oakland w Kalifornii? Podejmujecie niebanalne problemy, tematy dręczące ludzkość, ale w swoisty sposób, prześmiewczy. Na taką właśnie formę przekazu, pana zdaniem, czeka czytelnik bombardowany informacjami o świecie wokół niego?

Czułem się jak w pułapce, nawet za mniejsze wynagrodzenie wolałbym w tym momencie pracować w innej gazecie. Nie pochwaliłem się, że moje dziennikarskie materiały adresowane dla światłych czytelników od czasu do czasu pojawiają się także w dzienniku *Corriere della Sera*, co na pewno podnosiło moją wartość.

– Do jakiej grupy pani należy? – spytałem. – Spróbuję relacjonować jej pracę przy pani wsparciu. Może wtedy w jakimś stopniu pomożemy naszym czytelnikom zrozumieć sprawy zdające się wykraczać poza racjonalne pojmowanie świata.

Chwilę szła w milczeniu. Chyba nie uwierzyła w moje dobre intencje.

– Będę rzeźbić – odpowiedziała w końcu beznamiętnym tonem. – Jestem w grupie rzeźbiarzy. Zapraszam.

– O! – wykrzyknąłem zdumiony. – Zmienia pani moje wyobrażenie o rzeźbiarzach.

– To znaczy? – Z przesadną uwagą przyglądała się wizytówce, jakby chciała zapamiętać wszystkie wypisane na niej informacje. – A jakie pan miał te wyobrażenia? – Starła się ukryć rozbawienie.

– Zawsze sądziłem, że budową przypominają strongmanów i mają krzepę Heinza Ollescha.

– Albo Mariusza Pudzianowskiego – upomniała się o swego rodaka.

– Tak, a tu widzę kobietę kruchą, delikatną... Wybrała już pani temat pracy?

– Jak najbardziej – odpowiedziała, bacznie mi się przyglądając.

– Może pani zdradzić?

Znów uważne spojrzenie.

– Nawet pana zaproszę, by zobaczył pan początek mego dzieła, a potem jego kształt ostateczny – oświadczyła. – Zgoda? – Wyglądało, że dobrze się bawi moim zakłopotaniem.

– Będę zaszczycony. – Skłoniłem się nisko jak dworzanin przed królową. W jej królestwie chętnie bym służył za niewielkie wynagrodzenie: uśmiech, dotyk dłoni, a może kiedyś, w nagrodę za długoletnią wierność, pocałunek...

Zgromadzony na placu przed kościołem tłum wyraźnie podzielił się na dwie grupy: jedni skupili się koło wielkiego drewnianego krzyża ozdobionego kolorowymi wstążkami, drudzy otoczyli mężczyznę z mikrofonem w ręce. Ci spod krzyża śpiewali pieśni kościelne, ci drudzy powtarzali hasła płynące z głośnika.

Panował wielki chaos.

Kierownik wycieczki z autokaru poprowadził podopiecznych pod kościół, uciszył obie grupy i przemówił. Zaczął od przypomnienia narodzin hysterii religijnych, od wojen wywoływanych brakiem tolerancji, a zakończył apelem skierowanym do Watykanu, by przeproszono dziewięć milionów ludzi prześladowanych w okrutny sposób przez wyznawców Chrystusa, bezkrytycznie uznających niepodważalny autorytet sług Bożych, zakapturzonych brudnych mnichów, niepiśmiennych dewotów gorliwie powtarzających słowa padające z kościelnych ambon, przyjmujących z za krat konfesjonałów wykonawcze nakazy.

Z jednej strony tłum klaskał, z drugiej gwizdał i wykrzykiwał: „hańba, hańba!”.

W powietrzu wisiała wojna.

Gdyby do niej doszło, zapewne byłaby groźniejsza niż w czasach średniowiecza i odrodzenia. O sprawy niesprawdzalne, nierzeczywiste ludzkość potrafi toczyć długie i okrutne walki.

Doczekałem się zaproszenia od miedzianowłosej.

Z niedowierzaniem patrzyłem na nieforemny, jasnoszary, lekko żółty kamień. Z tej bryły jurajskiego piaskowca miała powstać rzeźba, dzieło sztuki, owoc wyobraźni, talentu i niezwyklej rzemieślniczej cierpliwości. Poprosiłem, by mi opowiedziała, co zamierza stworzyć. Popiersie Sydonii, do czego zobowiązała się publicznie? Pokazała szkic, a na nim kobiecą głowę o szlachetnych rysach twarzy, niewielkim nosku z szerokimi skrzydełkami, nieco wypukłych policzkach, łagodnie zarysowanym podbródkiem.

– To tylko projekt w jednym rzucie – wyjaśniła. – Kiedy rzeźba zyska możliwe dla siebie wymiary, może nieco odbiegać od szkicu, tego wymaga spoiwo krzemionkowe, drobnoziarnistość piaskowca.

Kazała mi uzbroić się w cierpliwość i poczekać, aż z kamienia ożywionego jej dłońmi powstanie perfekcja oblicza. Czyjego? Czy na pewno Sydonii? Spokojnie, rzeźba otrzyma nazwę na samym końcu.

Stałem z boku i przyglądałem się pracy rudowłosej. Jej twarz przysłaniały okulary ochronne i rzucający cień kask. Przejmowała mnie lękiem, gdy brała w ręce szlifierkę kątową; byłem nieco spokojniejszy, widząc młotek i zdzierak. Ale ani na chwilę, obojętnie czy pracowała ze szlifierką, czy ze zdzierakiem, nie potrafiłem uwolnić się od pytania, skąd u niej zainteresowanie rzeźbą.

Miała duszę artystki i twórcze aspiracje, a przed sobą tyle innych możliwości do wypowiedzenia się. Dlaczego kamień? Tyle hałasu, pyłu! Czy rzeźbiarze

ubezpieczają się przed chorobą płuc? Korzystają z tych samych sanatoriów, do jakich jeżdżą górnicy dołowi?

Nie zadawała sobie podobnych pytań.

– Kamień – skierowała na mnie oczy – zawsze mnie fascynował. Już jako dziecko podnosiłam kamyki w różnych miejscach: nad morzem, nad rzekami, na polach, w górach. Przyglądałam się im, szukając oznak czegoś, co musiało kryć wewnątrz. Bywają tak różne! Obrazują przeszłość Ziemi. Ale tak trudno do niej dotrzeć. Swoją pracę dyplomową wykonałam w piaskowcu ze Wzgórza Horzyckiego w Czechach. A potem, biorąc do rąk granodioryty, aplity, dioryty, pytałam samą siebie, czy kiedyś odkryję w nich duszę? Wciąż szukam sposobu na chłód kamienia. I zawsze, gdy przystępuję do nowej pracy, wydaje się mi, że właśnie odkrywam duszę kamienia. Może tym razem dotrę i... – umilkła.

– I... – podchwyciłem z nadzieją, że dokończy zdanie.

Uczyniła gest ręką, jakby odpędzała natrętną muchę.

– Nie teraz, nie teraz – poprosiła.

– Jaką nazwę otrzyma rzeźba? – dociekałem, chcąc jak najprędzej zbliżyć się do tajemnicy.

– Cierpliwości, cierpliwości. Jeszcze szukam, wciąż nie jestem pewna, czy to ten kamień, ten temat. Jeżeli trafiłam, wtedy... – znowu urwała wątek.

– Wtedy... – zachęcałem do zakończenia wypowiedzi.

– Właśnie, w t e d y – powiedziała z naciskiem na ostatnie słowo.

I znów zobaczyłem odpędzający ruch ręką.

– Przystępując do szkicowania, miała pani pewną myśl, ideę artystyczną – nie ustępowałem.

Przeniosła wzrok z kamienia na moją twarz, ale w jej spojrzeniu nie doszukałem się różnicy; patrzyła na mnie tak samo jak na ciosany piaskowiec, do którego wnętrza starała się dotrzeć. Czy do mojego również? Po co? Co chciałyby we mnie odkryć?

A może nie poprzestałaby na wniknięciu w moją duszę i poddałaby ją artystycznej obróbce? Za uśmiech, dotyk dłoni, pocałunek w nagrodę nie sprzeciwiłbym się tym zamiarom, poddałbym się woli ognistowłosej czarodziejki. Co złego mogłoby mnie spotkać ze strony tak uroczej kobiety?

Czarodziejka...?

Tak zacząłem o niej myśleć o zmierzchu, stojąc nad niewielką rzeczką, nad strugą, nad ciekim niezasługującym na względy malarza pejzażysty. Ale rzecz ma się zupełnie inaczej, gdy nad leniwie toczącym się potokiem staje o zachodzie słońca dwoje ludzi. Wtedy wystarczy trochę wody w wąskim korycie uparcie rzeźbionym przez tysiąclecia, czerwień zmierzchu rozlana na dalekim horyzoncie, by wszystko wokół nabrało innego wymiaru i wpisało się w serca czymś, co odkryło tylko tych dwoje. To niewielkie miasteczko, pod wieczór zupełnie wyciszone, ta maleńka rzeczka, w której mrocznej toni nikt nie szukałby niepokojącego wyobraźnię istnienia, zdawały się być stworzone właśnie dla nas. Nagle poczułem się mężczyzną zagubionym w wielkim świecie, który po latach błędzenia trafił do miejsca, gdzie u boku odpowiedniej kobiety odnajdzie wreszcie samego siebie. Ona zapewne przeżywała to samo, bo w ten wieczór, nad tą niewielką rzeczką nie można doznawać niczego więcej, niczego innego. Moje ramię coraz bardziej zmniejszało dystans dzielący go od jej ramienia, zeszywniała dłoń kierowała się powoli ku jej dłoni. Wydawało się mi całkowicie naturalne, by o tej porze dnia, nad tą rzeczką nastąpiło nasze zbliżenie.

Otoczenie nie miało swego zapachu, dlatego tym intensywniej czułem obecność ognistowłosej, jej delikatną woń przenikającą to odludzie, zapomniane przez innych, opuszczone, przeznaczone tylko dla nas.

Już byłem bliski dotknięcia dłoni ognistowłosej, może nawet objęcia jej ramieniem, gdy przerwała milczenie głosem cichym, jakby bała się spłoszyć coś

istniejącego poza nami, co nieco mnie zdumiało, bo przecież... prócz nas nic więcej nie istniało. Czyżby ona inaczej niż ja przeżywała naszą obecność o zachodzie słońca nad rzeczką Würm?

Opowiedziała mi o sobie.

Jej dom (nie jestem pewien, czy to właściwe określenie remontowanych zabudowań przy zrujnowanym zamczysku) stał na wysokim nadmorskim klifie. W jego gliniastych ścianach uwiły swe gniazda jerzyki, matowo czarne ptaki, które wylatując na połów owadów, piskliwym striii-striii budzą do życia żeglarzy i rybaków. Z okien zamku roztaczał się widok na morze, z wodą mieniącą się w słońcu jak atlas. Podczas burzy wichry wznosiły białe jęzory fal aż na grzbiet klifu, który osuwał się nieubłaganie, wraz z wrzosami, jeżynami, sosnami.

Ujrzałem ją, rudopomarańczową w ramie okna; portret pięknej kobiety wpatrzonej w dal, zastygłej w oczekiwaniu na coś, co powinno pojawić się zza horyzontu w różowym blasku wschodzącego słońca. Stamtąd przypływa natchnienie młodej artystki, ochota do zmagania się z twardą naturą kamienia. Tam też odpływa jej spokój, gdy morze pokrywa się śnieżnobiałą pianą, a duszę ogarnia przerażenie, że kiedyś skrawek tego lądu spocznie na dnie, a z nim przeszłość ludzi oraz ich codzienny trud.

Historia mieszkańców Przymorza i zamku nazwanego Wilczym Gniazdem, leżącego na wybrzeżu poszarpanym jak sejsmiczny wykres trzęsienia ziemi, wydała się mi tak pokrętna, jakby wystukał ją na klawiaturze komputera autor scenariusza thrillera. Jej narratorce nie zależało, by cokolwiek z przeszłości zamku uprościć, aby opowieść brzmiała wiarygodniej i bym łatwiej ją zapamiętał. Przeciwnie, najwidoczniej sprawiało jej przewrotną satysfakcję, że nie nadążam za płynącymi z jej ust słowami, że trudno mi poznać priorytety artystki, mieszkanki tej tajemniczej, niezwyklej krainy. To mi jednak nie przeszkadzało pragnąć tam być, stanąć przy niej w oknie z widokiem na zimne morze.

– Von Borcke nie najzyczliwiej się odniósł do pani wystąpienia – przypomniałem, starając się w ten sposób zatrzymać jeszcze trochę rudowłosą nad rzeczką o zachodzie słońca. – Nie próbowała pani z nim polemizować, ustąpiła mu.

– Miałam inne wyjście?

– Mówiąc o bliskim związku z Sydonią, miała pani na myśli pokrewieństwo z rodziną wywodzącą się z rodu zachodniopomorskiego?

– Tylko takie się liczą? – odparła pytaniem na pytanie.

Poprosiłem, by mi opowiedziała o Sydonii więcej, niż jej się udało podczas oficjalnego wystąpienia. Nie dała się długo prosić.

Otóż – mówiła – na Pomorzu żył sławny ród. Po zamkowym dziedzińcu biegło troje dzieci: Ulrich, Dorota i Sydonia. Sydonię rozpieszczano od wieku niemowlęcego. Nawet imię wybrano jej rzadkie, brzmiące tajemniczo, jakby przewidując jej wspaniałą urodę i niezwykłą przyszłość. Była śliczną dziewczynką. Żaden z rycerzy przybywających do zamku nie miał wątpliwości, że to ona jest oczkiem w głowie rodziców, skarbem cenniejszym od łupów zdobytych na niemieckich rycerzach ciągnących do krzyżackiego Malborka. A do zamku przybywało wielu gości, bo przez Pomorze biegły kupieckie drogi do Gdańska i jeszcze dalej – do północnych krain nadbałtyckich.

Jednak prawdziwe życie dworskie Sydonii zaczęło się gdzie indziej, na zamku wołogoskim, na wysepce otoczonej wodami Piany. Sydonia i tu wniosła dziewczęcą wesołość. Spodobał się jej syn Filipa I, Ernest Ludwik – mężczyzna urodziwy, godny uczuć i marzeń pięknej szlachcianki. Na długich korytarzach, w wielkich salach o względy Sydonii ubiegali się rycerze i dworzanie, lecz w jej snach było miejsce tylko dla jednego mężczyzny – dla księcia. Jednak na ziszczenie się takich pragnień nie mogła liczyć nawet najurodziwsza szlachcianka na Pomorzu. Księżę ją lubił, ale o małżeństwie nie było mowy.

Kiedy przystojny Ernest Ludwik miał poślubić córkę księcia, urażona w swej dumie Sydonia (niektórzy przypuszczają, że była w ciąży) wróciła do rodziny. Siostra powitała ją radośnie, zaś brat Ulrich bardzo chłodno. Po śmierci rodziców Ulrich został prawnym opiekunem sióstr, zatem musiał dzielić się z nimi majątkiem, a w razie wyjścia którejś za mąż – powinien ją wyposażyć. Kiedy sam się ożenił, między rodzeństwem zaczęło dochodzić do coraz większych waśni. Sydonia, nie mogąc znieść ciągłych kłótni, postanowiła opuścić zamek. Brat okazał się skąpcem i siostry sądownie musiały dochodzić swoich praw majątkowych. Los nie był dla nich łaskawy; czekając na kolejne rozprawy, żyły tylko dzięki łasce obcych ludzi. Ale każde, nawet największe ludzkie miłosierdzie ma swoje granice.

Gdy Sydonia stała się dla dobroczyńców ciężarem, umieścili ją w przytułku w Marianowie. Dawna uroda szlachcianki przemijała; brzydła i gorzkniała, zamykając się w sobie. Nie zapomniała jednak, że ją skrzywdzono i w dalszym ciągu sądownie zabiegała o spadek po ojcu. Zakonnice, które nigdy nie polubiły wyniosłej Sydonii, z czasem zupełnie się od niej odsunęły. Towarzyszami dziwaczej kobiety były ptaki i zwierzęta, z którymi rozmawiała jak z jedyymi przyjaciółmi godnymi zaufania. Takie zachowanie zakonnemu otoczeniu wydało się podejrzane. Sydonia zbierała zioła, leczyła nimi siebie i ludzi ze wsi. To również nie przysparzało jej sympatii, przeciwnie – dokuczano jej i drwiono z jej talentów, gdy na jakąś chorobę polecane wywary nie skutkowały.

Szukając sposobu na ludzką złość, któregoś dnia nierozważnie postraszyła swych dręczycieli diabłem. Posunęła się stanowczo za daleko, bo wówczas zabobonnie wierzono w wielką moc szatana. Ten i ów szeptał, że stara baba jest z nim w zмовie. A kiedy we wsi doszło do kilku przykrych wypadków – właśnie ją oskarżono o ich spowodowanie.

– Czarownica! – wołano za nią.

A do tych, którzy podejrzewali ją o czary i konszachty z diabłem, ochoczo dołączył jej brat. „Gdyby ją skazano na śmierć – myślał – wreszcie przestałbym się włączyć po sądach”. Kiedy ją wreszcie oskarżono, jak miała udowodnić, że nie przyjaźni się z diabłem i nie jest czarownicą? Słuchała zarzutów z coraz niżej spuszczoną głową, z coraz większą bezsilnością wobec ludzkiej złości i zawiści. Śmierć wydawała się mniej okrutna od nienawistnych ludzkich spojrzeń, od pytań obrażających jej inteligencję. Kiedy poddano ją torturom, nie wytrzymała i przyznała się do tego, czego od niej oczekiwano. Tak, uprawiała czary. Tak, służył jej diabeł Chim. Sąd tryumfował. Prawda zwyciężyła. Sydonię ścięto, a jej ciało spalono na stosie. Świat pozbył się jeszcze jednej czarownicy.

Okolica nad Würm o zmierzchu, z ognistowłosą u boku, wydała mi się krainą bukoliczną, cudowną, w której mają prawo żyć czarownice, wróżki, elfy – cały świat ludzkiej wyobraźni karmiony bezgraniczną fantazją.

Spojrzałem na złotorudą. Była jak wyjęta z okiennej ramy na tle nadmorskiego klifu. Łukaszowi Cranachowi Młodszemu jedno takie spojrzenie wystarczyłoby do stworzenia portretu pięknej kobiety, z blaskiem opadającego za horyzont słońca odbijającego się w ciemnoniebieskich oczach, opromieniającego wysokie czoło i mały nosek. Łukasza Cranacha Starszego jedno takie spojrzenie zainspirowałoby do namalowania *Matki Boskiej Wspomożenia Wiernych*.

– To popiersie Sydonii chce pani rzeźbić? – zgadywałem.

Milczała.

Wybraliśmy inną drogę powrotną, koło placu zabaw ogrodzonego niewysokim brązowym płotkiem. Zdumiała nas jego obecność tutaj. W mieście z przewagą pochylonych ku ziemi starców, przygarbionych pod ciężarem wieku staruszek, bez dziecięcego gwaru na ulicach – oaza dla dzieci, których nie ma, których szczebiot

dawno zniknął, wraz z odjazdem autobusów do innych miast. Jak fragment skansenu: piaskownica, zjeżdżalnia, huśtawki, koniki.

Miedzianowłosa na widok placyku ruszyła zwawszym krokiem, otworzyła furtkę, potem chwyciwszy sznury huśtawki, siadła między nimi na deseczce, rozbijała się. W świetle lamp jej długie nogi i nieco wytarte podeszwy pantofli zaczęły mi śmigać przed oczami: góra z nogami wyrzuconymi w niebo, dół, góra z nogami podkurczonymi pod siebie... Podfruwiała sukienka, odsłaniając uda, latały falbanki śnieżnej bluzki. I burza włosów.

– Wyżej, wyżej! – wykrzykiwała, jakby chciała się oderwać od ziemi na zawsze i wraz z huśtawką wzlecieć nad placyk, nad kościelną wieżę, w chmury, niczym radosny ptak.

Rozhuśtana wspomnieniami, tęsknotą do czasów niedojrzałości, dojrzewania, do chwil, które nie wrócą... Czy o tym myślała, krzycząc: wyżej, wyżej? Może wciąż miała do tego prawo: i do bujania się jak dziecko, i do większej artystycznej dojrzałości, prawo do wzniesienia się ponad piaskownicę, ponad kościół, ponad stojącego opodal mężczyznę wpatzonego w nią jak w święty obraz...

Koło ogrodzenia placu zabaw zaczęli zbierać się starcy. Wolno, ostrożnie, przewyciężając fizyczny wysiłek, pokonując słabość ciała, prostowali grzbiety. Ich oczy starały się nadążyć za wzlotami ognistowłosej, a ona śmiała się wesoło, beztrosko, śmiechem dzieci, które przed nią siadały na tej huśtawce i odfruwali daleko od ziemi, wysoko ku niebu. Starcy szeroko otwierali usta i próbowali wtórować śmiechem.

Kiedy zeszła z huśtawki – a raczej z niej zeskoczyła, w końcowej fazie kucając jak narciarz podczas wykonywania telemarku, z jedną nogą wysuniętą do przodu dla amortyzowania lądowania – obdarzyła mnie niesamowitym półśmiechem radości, zadowolenia z dokonania czegoś, czego nie była pewna, a jednak osiągnęła zadowalający wynik.

A może chciała tym półuśmiechem powiedzieć mi coś więcej, niż tylko wyrazić zadowolenie z siebie? Wszak do mnie się uśmiechnęła...

Oficyna wydawnicza RW2010 proponuje

Marian Kowalski: Wołanie mew

Powieść obyczajowa z wątkami thrillera i fantastyki. Przedstawia losy celebrytki i modelki Ingi Bral wpisane w ponurą morską legendę o mewach z duszami topielców.

Inga i Joachim Krafft żyją banalnie, zmysłowo. On – Mazur z pochodzenia – dobrze wszedł w wielkomiejski pejzaż, ona – córka polskiego marynarza, modelka i celebrytka – nie zadowala się tym, co ma, pragnie czegoś więcej niż podziw mężczyzn i niesłabnące pożądanie kochanka-opiekuna. Nie wystarcza jej dostępne szczęście i osiągnięta już stabilizacja. Pełna sprzeczności, dążeń i pretensji do świata nie potrafi spokojnie żyć u boku Joachima. Chce czegoś dokonać, zasłużyć na... nieśmiertelność. Pragnie zostać dziennikarką, marzy o rejsie jachtem. Ale gdy w końcu namawia Joachima na wyprawę po Morzu Północnym, rzeczywistość i wszechobecne mewy napawają ją lękiem...

Na chwilę znajduje wytchnienie wśród norweskich fiordów, u boku dwóch zauroczonych nią mężczyzn. W odmiennym krajobrazie wierzy, że odnajdzie cel. Tu wszystko ma swą nazwę, głębszy sens, nie sprowadza się tylko do seksu. Ale i tu są mewy, tajemnice i dziwna, czająca się wśród wrzosowisk i bagien groza. Może od przeznaczenia nie da się uciec...?

Joanna Łukowska: Nieznajomi z parku

Miłość od nienawiści dzieli krok.

On jest bogaty, doświadczony, nieufny. Ona – wrażliwa, introwertyczna, pełna kompleksów. Oboje niosą багаż trudnego dzieciństwa.

Po raz pierwszy spotkali się w parku. Wtedy też po raz pierwszy od niego uciekła...

Zafascynował ją i przeraził jednocześnie. Zawsze bała się takich mężczyzn: silnych, pewnych siebie do granic arogancji, mrocznych i skomplikowanych. Był zły i przestraszył ją, ale nie mogła o nim zapomnieć. Irracjonalny lęk, jaki w niej wzbudził, przekonał ją, jak pozorny był jej spokój i ćwiczone całymi latami opanowanie. Bezpieczeństwo, którego szukała w swoim cichym, uporządkowanym świecie, okazało się złudne i kruche...

„Nieznajomi z parku” to w równym stopniu opowieść o miłości, jak i o nienawiści. To historia mężczyzny, który nie potrafi ufać, i kobiety, która nie umie walczyć o to, w co wierzy.

Monika Gabor: Uwaga na marzenia

Trzy różne kobiety – trzy różne historie.

Podglądamy miłosne i życiowe perypetie trzech przyjaciółek. Każda z nich jest inna, każdej przytrafia się coś innego, każda inaczej reaguje.

Iza, aktywna zawodowo, ambitna i kompetentna, również prywatne życie bierze we własne ręce, dokonując wyborów na przekór wszystkim i wszystkiemu. Dąży do celu, którym jest szczęście, nie słuchając rad i nie bacząc na konsekwencje.

Marta to domatorka spełniająca się w roli żony, matki, gospodyni domowej. Rozwód jest dla niej szokiem, zarazem początkiem zmian. Jak wpłynie na nią rozpad rodziny? Czy będzie umiała jeszcze komukolwiek zaufać?

Julia wie o życiu, o którym marzy każda z nas. Kochający mąż, mądra córka, satysfakcjonująca praca... Gdzie tkwi haczyk? Czy traumatyczne dzieciństwo wpłynęło na wybór zawodu? Czy można być jednocześnie lojalną przyjaciółką, kompetentnym psychologiem i uczciwym człowiekiem? A gdy trzeba wybrać...

Anna Rybkowska: NELL, tom 1 i 2

Bajkowa historia, która staje się dramatem.

Natalia to przykładna żona i matka, która spełnia się, dbając o dom i rodzinę. Nie ma pojęcia, że czegoś jej brakuje, że za czymś tęskni. Nie musi lękać się swoich marzeń, bo... ich nie ma. Czy raczej zepchnęła je głęboko do podświadomości. Odzywają się, gdy przypadkiem nawiązuje internetową, a potem telefoniczną znajomość z Wiliamek Barlowem, angielskim muzykiem rockowym, idolem swojej własnej córki. Will jest mężczyzną utalentowanym, pewnym siebie, aroganckim, nieobliczalnym i fascynującym. Nie pisze mu o sobie prawdy, nie przyznaje się do wieku i czwórki dzieci... Gdy dostaje zaproszenie na koncert w Londynie – postanawia pojechać...

On nazywa ją Nell. I jak nikt inny budzi w niej coś, czego się nie spodziewała, czego nie chciała, czego się lęka i o czym nie może przestać myśleć. Czy będzie umiała się temu oprzeć? Dla dobra rodziny. Dla spokoju własnej duszy... A co z rozbudzonym ciałem?

Bajkowa historia, która staje się dramatem. Obyczaj, który przeistacza się w zmysłowy thriller o opętaniu. Opowieść o miłości, odpowiedzialności, pożądaniu, które niszczy, ale właśnie dzięki niemu życie nabiera barw, smaku, zapachu.

Natalia czy Nell? Który ze światów wybierze...?

Katarzyna Woźniak: Hydra pamiątek

Nowa miasto, nowa miłość, nowa przygoda.

Historia jednej podróży, która staje się opowieścią o miłości i spełnianiu marzeń. Czy pracownica banku może przeobrazić się w artystkę, czarującą słuchaczy głosem i grą na gitarze?

Czy pełna kompleksów kobieta może rozkochać w sobie mężczyznę odważnie podążającego za swymi pragnieniami? Czy Polka i Węgier odnajdą w Amsterdamie wspólne szczęście i drogę do swoich serc?

Czy można zapomnieć o bagażu przeszłości, który dźwigamy jak niechciany garb? Czy potrafimy wystawić za drzwi walizki wyuczonych zasad i narzuconych priorytetów, które nie pozwalają nam iść od przodu?

Anna, będąc świadkiem śmiertelnego wypadku, uświadamia sobie, że jej wypełnione karierą życie tak naprawdę pozbawione jest sensu, emocji i głębszej treści. Ona już jest jak martwa. Nikogo nie kocha, niczego nie pragnie, nie ma pewności, czy to, co osiągnęła, było jej celem, czy spełniała tylko oczekiwania innych. Targana wątpliwościami, dręczona poczuciem niespełnienia, podejmuje próbę porzucenia wyuczonych przez społeczeństwo nawyków i wartości. Opuszcza rodzinny kraj i wkracza do zupełnie nowego świata...

Joanna Łukowska: Dreszcze

Opowiadane przez narratorów historie dotyczą przeżyć bolesnych, nierzadko traumatycznych, po których pozostają widzialne i niewidzialne blizny; opisują stany, kiedy śmierć wydaje się jednym rozwiązaniem; wnikają w świat niesamowity, z pogranicza horroru, thrillera, fantastyki; zagłębiają się w szarość ludzkiej samotności...

Nie wierzymy w duchy, anioły, zjawiska paranormalne, ale czasem ten niezwykle świat przenika do naszej rzeczywistości. Sądzymy, że bohaterowie są tylko w telewizji, ale mijamy ich każdego dnia, na ulicy, w pracy, w domu... Myślimy, że zło przytrafia się innym – dopóki nie dotknie nas swoimi zimnymi palcami, nie złapie za gardło, nie ściśnie za serce. Czasem mrok staje się codziennością, a śmierć kusi brakiem odczuwania, czasem wampir wyziera z oczu bliskiej osoby, a potwór śpi tuż obok...

Obok mnóstwo się dzieje. Rzeczy niezwykłych, strasznych, porażających, przyprawiających nas o dreszcze strachu, obrzydzenia, niedowierzania, ale też ulgi i podziwu. Z otchłani ratuje nas miłość, przyjazna dłoń, drugi człowiek. Bo sami dla siebie jesteśmy demonami i aniołami.

Marcin Królik: Drzewo różane

Ona straciła dziecko, on – cały świat. Ona – zwykła dziewczyna koło trzydziestki, która po poronieniu nie może wrócić do równowagi; on – stary Żyd, który po latach emigracji w Ameryce, gdzie odnalazł kruchy spokój, wraca do miasta swego dzieciństwa, by uświetnić otwarcie obserwatorium astronomicznego w dawnej wieży ciśnień. Jest również ten trzeci – jej mąż, dziennikarz prowincjonalnej gazety z niespełnionymi literackimi ambicjami, któremu szef pewnego dnia zleca zrobienie relacji z uroczystości w wieży. Całą trójkę łączy ból utraty i każde z nich na swój sposób stara się z nią uporać. Co wyniknie z ich spotkania?

Niemniej istotnym zbiorowym bohaterem jest miasteczko, w którym, niczym na scenie, krzyżują się ich losy. Nie jest to jednak ani powieść o małżeńskiej tragedii, ani o piętnie Holokaustu. Jej fabuła została zbudowana z kilku pięter, znaczenia zapętłają się, tworząc niekiedy ryzykowne sploty. Próżno tu szukać łatwych pocieszeń czy krzepiącego morału. Fikcja i rzeczywistość splatają się w niezwykle sposób, odsłaniając nieoczekiwane powiązania i ukryty, symboliczny wymiar faktów.

Joanna Łukowska: Ulica Abrahama

Podróż przez życie, ocean, czas.

Magiczna opowieść o poszukiwaniu swojego miejsca w życiu, o marzeniu, które powiedzie Abrahama Zimmermana za ocean. O innym Abrahamie, który po półtora wieku podejmie dzieło swego przodka. Historia przyjaźni między żydowskim chłopcem, spragnionym wiedzy i książek, a starym Szkotem, księgarzem i agnostykiem. Powieść o zadawaniu pytań i szukaniu odpowiedzi. Także intymny traktat o starzeniu się i śmierci na własnych warunkach. Rodzaj literackiej metafory, współczesnej przypowieści o życiu, odchodzeniu, braniu odpowiedzialności za siebie i innych, o prawdzie skrytej tak głęboko, że ujawnia się jedynie w snach.

Mały Abraham nie pasuje do swojej ortodoksyjnej kupieckiej rodziny. Ma marzenia, pasje i chce tworzyć, jeżeli już nie coś innego – to chociaż swoje życie. Wprawia w zakłopotanie bliskich, denerwuje ich oraz nieustannie martwi. Ojciec próbuje go okiełznać, wysyła syna do szkoły,

znajduje mu żonę... Ale pasje Abrahama są częścią jego duszy. Rozumie to Angus, stając się dla młodzieńca przyjacielem i przewodnikiem. Intuicyjnie rozumie to także młodziutka Izebel, która kocha swojego dziwnego męża tak, jak potrafi: po cichu, skromnie, choć z całego serca, przyjmując go takim, jaki jest. I bez wahania rusza wraz z nim w daleką podróż, gdzie czeka na nich nowy świat...

Ewa Bauer: W nadziei na lepsze jutro

Powieść przedstawia historię młodej kobiety, która bardzo pragnie być szczęśliwa. Pomimo przeciwności losu i osobistych tragedii, jakie ją spotykają, wciąż wierzy, że prawdziwa, wierna i uczciwa miłość istnieje. Losy Anny przeplatają się z losami dwóch innych kobiet, których życie również nie układa się tak, jakby sobie tego życzyły. Bohaterowie przechodzą metamorfozy, podejmują różne – nie zawsze słuszne – decyzje. W odwiecznej walce dobra ze złem, marzenia ścierają się z rzeczywistością, pragnienia z sumieniem. Emocje w tej książce grają główną rolę. Czy w poszukiwaniu miłości wolno wszystko?

Joanna Łukowska: Państwo Tamickie

Kraina niezwykłej codzienności.

Powieść obyczajowa w dwudziestu epizodach, które łączy para bohaterów – młode małżeństwo, wchodzące w dorosłe życie na przełomie lat 80-tych i 90-tych ubiegłego wieku. Zaczyna się od „ślubu z rozsądku”, czyli... dla mieszkania. Takie były czasy, że osobie samotnej przysługiwała zaledwie kawalerka, a małżeństwu „aż” M3. Sporo humoru w codzienności, czasem zaskakujący finał, trochę wzruszeń i smutku, trochę grozy, odrobina magii... Jak to w życiu.

Bohaterami są ludzie, duzi i mali, zwierzęta, duchy oraz święci.

Książka, która bawi, wzrusza i pokrzepia. To patchworkowa opowieść, w której kolejne rozdziały są jak kolorowe kawałki kołdry – każdy inny, ale razem tworzą zgrabną i ciepłą całość.